

Na niedźwiedzia.

Wszyscy powtarzali, że na chorobę stryja nie ma lekarstwa oprócz niedźwiedziego sadła. Trzeba zabić niedźwiedzia, aby lekarstwo zdobyć.

Nie może być inaczej, tylko Jacek zrobić to musi, żeby uratować stryja.

Tak sobie myślał chłopiec i poszedł w puszcę w dzień. Odnalazł ślad koło barci, rozmazał trochę miodu po pniach, aby zapach nęcił zwierza, i wrócił do domu.

Wieczorem ubrał się w kubrak łosi bez rękawów, na ciemną wdział żelazny czepiec z drutu, wziął widły dobrze ukute, w dwuzębne, i topór dębowy stalowy na dębowym toporzystku. Poszedł o wieczornym udaju, wybrał sobie dogodne miejsce, zasiadł i czeka.

Czerwone promienie zachodzącego słońca świeciły między gałęziami, po wierzchołkach sosen tłukły się wrony, kracząc, gdzieś ku wodzie kłóły zające, czasem śmignęła kuna. W gąszczach odzywał się świergot ptaków, ale powoli ustawał, wszystko jęło się uspakajać.

Teraz, póki wilki się nie odezwia, będzie cicho - pomyślał Jacek.

Ostatnie blaski zniknęły i uczyniła się zupełna noc. Czasem spadała szyszka, wydając odgłos mocny, ale zresztą było tak cicho, że Jacek słyszał własny oddech.

Siedział tak długi czas, pogrążony w myślach, nagle się ocknął. Usłyszał jakiś szelest. Włoc ścisnął widły w garściach, nastawił uszu i zaczął słuchać.

Szelest się zbliżał. Chrupały suche gałązki pod ostrożną stopą, szurały opadłe liście... coś szło.

Chwilami szelest ustawał, jakby zwierzę zatrzymywało się przy drzewach, i wówczas robiła się taka cisza, że Jackowi zaczynało w uszach dzwonić.

Tymczasem kroki ucichły. Jacek słyszał wyraźnie, że coś zatrzymało się za nim, jakby przysiadło. Ogarnęło go zdziwienie. Niedźwiedź przyszedłby tu przecież spać pod barcią, a wilk też by nie czekał do rana. I nagle mrowie przeszło go od stóp do głowy i uczył że pod żelaznym czepcem włosy zaczynają mu się jeżyć.

Ale w tej chwili szelest odezwał się przed nim, a jednocześnie doleciał go śwąd niedźwiedzi. Oddechnął: miś szedł.

Jacek w jednej chwili przestał się bać nieznanego niebezpieczeństwa, wyłożył słuch i wzrok. Kroki zbliżały się ciężkie, wyraźne, dało się słyszeć sapanie i pomruk. Ujrzał przed sobą

wielki, ciemny kształt zwierzęcia, które nie mogło go zwietrzyć, idąc z wiatrem, tym bardziej że je zajmował zapach miodu.

- Bywaj, dziadku! - zawołał Jacek, wysuwając się nagle spod sosny.

Niedźwiedź ryknął krótko, jakby przestraszony. Lecz już nie mógł ratować się ucieczką, więc podniósł się na zadnie łapy, rozwarłszy przednie jakby do uścisków!

Tego oczekiwał Jacek. Skoczył jak błyskawica i całą siłą potężnych ramion wbił widły w pierś zwierza. Cały bór zatrzęsł się od przeraźliwego ryku. Niedźwiedź chwycił łapami widły, pragnąc je wyrwać, ale zadziory przy ostrzach wstrzymały, więc poczuwszy ból, zagrzmiał je złość straszliwiej. Chociaż dosięgnął Jacka, wsparł się na widłach i wbił je w siebie jeszcze mocniej. Jacek nie wiedząc, czy ostrza weszły dość głęboko, nie puszczał rąkojeści. Człowiek i zwierzę poczęli się szarpać i szamotać. Bór się trząsł od ryku, w którym brzmiała wściekłość i rozpacz.

Jacek nie mógł jąć się topora, nie wbiwszy poprzednio drugiego końca wideł w ziemię, -- niedźwiedź zaś, chwyciwszy za osadę łapami, miotał nią i Jackiem, jakby rozumiejąc, o co chodzi i mimo bólu nie dając "podeprzeć" się widłami. Przedłużała się straszna walka, Jacek zrozumiał, że siły jego się wyczerpią. Mógł upaść, a wtedy zginął! Wiele wytrzymał ramiona, rozstawił nogi, wygiął krzyż i począł powtarzać przez zaciśnięte zęby:

- Moja śmierć, albo twoja!

I chwycił go taki gniew, że wołałby zginać, niż bestię puścić. Wreszcie, zawadziwszy nogą o korzeń sosny zachwiał się i byłby upadł, gdyby nie to, że ciemna postać stanęła przy nim nagle, i drugie widły podparły niedźwiedzia, a jednocześnie głos jakiś zawołał mu nad uchem: - Toporem!

Jacek chwycił topór i ciął strasznie. Trzasnęły widły, złamane ciężarem niedźwiedzia, który się zwałił, jakby piorunem rażony, i zaczął chrapać. Lecz zaraz ustał. Nastąpiła cisza, przerywana tylko głośnym, echem oddechem Jacka, który wsparł się o sosnę, gdyż nogi chwiały się pod nim. Po chwili spojrzał na stojącą obok postać i zląkł się znowu.

- Ktoś ty? - rzekł niespokojnie.

- Hanka - odpowiedział głos kobiety.

Jacek aż zaniemógł ze zdziwienia. - Bóg ci zapłać - rzekł wreszcie. - Nie wiem, co by się bez ciebie przygodziło. A czemuś się nie obezwala? - Bom się bała, że mnie odpędzisz.

A jam myślał, że to "złe". Takiej drugiej dziewczyny jak ty nie ma na świecie. Tobieby na wojnę chodzić.

Polowanie na niedźwiedzia.

Tu był las rzadszy. Słychać z głębi ryk, trzask łomu, aż z gęstwy, jak z chmur, wypadł niedźwiedź na kształt gromu wkoło psy gonia, straszą, rwą; on wstał na nogi tylne i spojrzał wkoło, strasząc wrogi, i przednimi łapami to drzewa korzenie, to pniaki osmalone, to wrosłe kamienie rwał, wałąc w psy i w ludzi, aż wyłamał drzewo, kręcąc nim jak maczugą, na prawo, na lewo, runął wprost na ostatnich strażników obławy:

Hrabiego i Tadeusza. Oni bez obawy

stojąc w kroku, na zwierza wytknęli flint rury, jako dwa konduktory w łono ciemnej chmury;

aż oba jednym razem pociągnęli kurki,

niedoświadczeni! Razem zagrzemiały dwururki:

chybił! Niedźwiedź skoczył; oni już utkwiony oszczep jeden chwycili ostem na ramiony,

wydzierali go sobie. Spojrzę, aż tu z pyska

wielkiego, czerwonego dwa rzędy kłów błyska

i łapa z pazurami już się na kły spuszcza:

pobledli, w tył skoczyli, i gdzie rzędzie puszcza,

zmykali. Zwierz za nimi wspinał się, już pazury

zahaçał, chybił, podbiegł. wspinał się znów do góry

i czarna łapa sięgnęła Hrabiego włos płowy,

zdarłby mu czaszkę z mózgow jak kapelusz z głowy;

gdy Asesor z Rejentem wyskoczyli z boków,

a Gerwazy biegł z przodu o jakie sto kroków,

a z nim Robak, choć bez strzelby: i trzej w jednej chwili,

jak gdyby na komendę, razem wystrzelili!

Niedźwiedź wyskoczył w górę jak kot przed chartami

i głową na dół runął, i czterema łapami,

przewróciwszy się młynem, cielską krwawą brzemię,

wałąc tuż pod Hrabiego, zbił go z nóg na ziemię.

Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły rozjuszona Strepoczna i sprawnik zajądły.

